

ANNA KAŃTOCH
CZELUŚĆ



powergraph

Warszawa 2024

Copyright © 2024 by Anna Kańtoch
Copyright © 2024 by Powergraph
Copyright © 2024 for the cover by Jan Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktorka prowadząca: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na okładce: Jan Kosik
Projekt graficzny i opracowanie wnętrza: Rafał Kosik

Wyłączy dystrybutor:
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
dressler.com.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel.: +48 22 834 18 25
powergraph.pl
powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-67845-47-2

Druk: Abedik Sp.j.
Printed in Poland, EU

Agnieszka straciła wspomnienie w pewne późnoletnie czy może już jesienne popołudnie, duszne i lepkie, gdy po niebie przetaczały się burze, a pod stopami szeleściły pierwsze opadłe liście. W jednej chwili po prostu wysliznęło się z niej, tak jak napełniony wodą ciężki dzban wyslizguje się ze spoconych dłoni; jeszcze przez moment ogrzewało ją ciepłem przeszłości, a potem zniknęło. Czasem wspomnienia wracały, to jednak odeszło na zawsze. Wiedziała o tym z pewnością osoby, która już od pewnego czasu zdawała sobie sprawę, że jej pamięć nie działa tak, jak powinna. Poruszyła się niespokojnie w progu sklepu, stojący przed nią mężczyzna wymruczał „przepraszam” po raz drugi, a może i trzeci. Odsunęła się. Po co tu przyszła?

Po masło i mleko oczywiście, podsunęła usłudźnie pamięć, nagle chętna do współpracy. Co więcej, Agnieszka zdążyła już je kupić i teraz wychodziła, a nie wchodziła. Zrobiła jeszcze jeden krok. Pierwszy podmuch burzy uderzył ją w twarz, przynosząc woń nawozu i zalegających na poboczu uschniętych traw, startych na pył oponami samochodów. Zamarła, bo coś się zmieniło, coś było nie tak w krajobrazie, który знаła na pamięć.

Rozejrzała się, ale wieś na pozór wyglądała jak zawsze. Zwyczajna polska ulicówka, składająca się z kilkudziesięciu domów rozrzuconych wzdłuż głównej drogi, kościoła i dwóch sklepów – zdecydowanie większą popularnością cieszył się ten, z którego właśnie wyszła, choć na poważniejsze zakupy mieszkańcy i tak jeździli do Biedronki w niedalekim Grodkowie. Rakocice pozbawione były zarówno oczywistego piękna, jak i nieoczywistego wdzięku brzydoty. Agnieszka pamiętała, że lata temu, gdy kupowała tu dom, zależało jej właśnie na tej zwyczajności. Żadnych mrocznych lasów, tajemniczych skał czy zrujnowanych pałaców, w których mogłyby się lęgnąć cienie i opowieści, żadnych atrakcji przyciągających turystów. Jeśli ktoś obcy przejechał przez wieś, zapominał o niej, ledwo skręcił na drogę prowadzącą z Grodkowa do Strzelina. Nikt nie miał powodu, by się tu zatrzymywać.

Aż do teraz, bo biała mazda parkująca pod kościołem nie należała do nikogo z miejscowych. Zdradzała ją nie tylko warszawska rejestracja, ale też trudny do opisanie, choć przecież wyraźny rys obcości. Wydawała się zbyt lśniąca, zbyt miastowa, niczym przybysz z innego świata.

W samochodzie siedział chłopak o włosach w kolorze kaczeńców. Kobieta zdążyła się zastanowić, czy to naturalna barwa, gdy z pociemniałego nieba lunęła ściana deszczu. Trzask zamykanych drzwiczek, Agnieszka, pusta po tym, jak opuściło ją wspomnienie, i przemoczona, patrzyła jak przez szarość ulewy sunie w jej stronę kanciasta postać. Nie chłopak, jak sądziła wcześniej, tylko wysoka dziewczyna o szerokich ramionach. Dłońmi osłaniała głowę, na której sterczały włosy ułożone w jaskrawożółte kolce.

— Pani Grabowska, prawda?

Stały naprzeciwko siebie w podmuchach burzy miotającej zimnym deszczem i liśćmi oberwanymi z pobliskiej lipy. Obok, kuląc się pod naporem wiatru, przebiegła sąsiadka, którą Agnieszka widziała wcześniej w sklepie, a po niebie przetoczył się pomruk gromu, głęboki i wściekły. Dwie kobiety, jedna młoda, druga jeśli jeszcze nie stara, to przynajmniej niebezpiecznie starości bliska. Agnieszka była nieprzyjemnie świadoma swoich od dawna niemytych włosów, dzinsów ubrudzonych na kolanach ziemią i rozdeptanych sandałów, z których wystawały paluchy z żałobą za paznokciami.

— Nie. — Odwróciła się i odeszła.

W domu powitały ją trzy długonogie szare psy, mieszańce owczarka i Bóg wie czego. Może wilka. Suka jak zwykle dopchnęła się do Agnieszki pierwsza, lecz kobieta odsunęła ją niecierpliwie, zdejmując przemoczone sandały. Gdy szła boso w głąb pograżonych w półmroku pokoi, zostawiała za sobą na podłodze wilgotne odciski stóp, wyglądające jak ślady pozostawione na plaży przez rozbitka. Jej dom miał w sobie coś, co nieuchronnie kojarzyło się z opuszczeniem, nawet teraz, mimo obecności zwierząt i unoszącego się w powietrzu zapachu kawy, który został po dzisiejszym śniadaniu. Samotność zbyt mocno wżarła się w te mury, by dało się ją łatwo wyrugować. Agnieszka zapaliła światło, nasypała psom suchej karmy, a kiedy zajęły się miskami, usiadła przy stole w kuchni. Łokcie oparła na blacie poznaczonym plamami po taniej marmoladzie i upstrzonym okruciami chleba. Blask wiszącej pod sufitem lampy zmętniał i poszarzał, jakby zaraził się od wiszącej za oknem burzowej ciemności.

Przydałyby mi się pieniądze, pomyślała, sięgając po paczkę papierosów. Oczywisty wniosek. Renta ledwo starczała na jedzenie i ogrzewanie dużego kamiennego domu. Nie pamiętała już, dlaczego nie zadowolona się czymś mniejszym, po co były jej trzy pokoje na parterze i całe, nieużywane teraz piętro. Może wyobrażała sobie grono przyjaciół spędzających tutaj letnie urlopy, grille w ogródku i leniwe czytanie książek w hamaku. Albo dużą rodzinę, choinkę w salonie, dzieci biegające tam i z powrotem po schodach. Czy kiedykolwiek była z kimś tak blisko, że ta wizja mogłaby się ziścić? Tak, pomyślała, zadowolona, że tym razem pamięć jej nie zawodzi. Wspomnienie przeszło tuż obok niczym duch wędrujący przez pograżoną w półmroku komnatę starego zamczyska, zostawiając po sobie obraz piegowatej twarzy, ni to dorosłej, ni to jeszcze dziecięcej. Dłoń, która wtedy, w kamieniołomie, podała jej schłodzoną w ciemnej wodzie butelkę piwa, wilgotne palce stykające się z jej dłonią, ciepłą i suchą. Popularne imię, jedno z tych, które wtedy, w połowie lat osiemdziesiątych, nosiła jedna czwarta dzieciaków z jej klasy.

Wiedziała, że będzie ją to dręczyć, podeszła więc do półki, na której stały kasety wideo. Głównie klasyki: *Przeminęło z wiatrem*, *Anna Karenina* z Vivien Leigh. Agnieszka nigdy nie mogła się przekonać do płyt DVD ani tym bardziej do późniejszych wynalazków, streamingów, netfliksów czy diabli wiedzą czego. Czasem bawiło ją, gdy wyobrażała sobie, że jest ostatnią osobą w Rakocicach, a może i na całym Śląsku, używającą tak przestarzałego sprzętu. A czasem – jak teraz – napawało ją to smutkiem. Zdawała sobie sprawę, że jeśli magneto-wid się zepsuje, nikt go już nie naprawi.

Sięgnęła za rząd kolorowych kaset i wyciągnęła opisaną długopisem taśmę w zwykłej papierowej okładce, po czym kucnęła i wsunęła ją do odtwarzacza. W głośniku zaszumiało i zatrzeszczało, na ekranie spod białych pasków wychynał niewyraźny fragment serialu nagranego lata temu z telewizji. A potem ziarnista twarz Richarda Chamberlaina ustąpiła miejsca Agnieszce, młodszej, szczuplejszej i zdecydowanie lepiej ubranej.

— *Właśnie zdaliśmy maturę i mieliśmy poczucie, że wszystko się kończy* — mówiła wprost do kamery.

— *Co się kończy?* — indagowała blondynka, która sama wyglądała, jakby jeszcze niedawno chodziła do liceum.

— *Nie wiem. Młodość, beztroska. Po prostu mieliśmy przecucie, że od teraz nasze życie będzie wyglądać zupełnie inaczej. I nie myliliśmy się.*

— *My, czyli kto?*

— *Ja, Andrzej, Janka i...*

Agnieszka wcisnęła pauzę i przez moment wpatrywała się w zastygłą na ekranie twarz. Gdy udzielała tego wywiadu, nie była już młoda i zaczynała tyć, ale tamtego dnia miała w sobie pewność siebie i piękno ludzi, którzy wiedzą, że świat chce wysłuchać ich historii. Oczy jej błyszczały, niedawno ścięte włosy układały się idealnie, a dobrze dobrany żakiet tuszował niedoskonałości figury. Może przy odrobinie szczęścia...

Gdy wstawała, poczuła piekące ukłucie w lewym boku, a w kolanie coś nieprzyjemnie strzyknęło. Jej ciało też już było zużyte, choć najwyraźniej nie tak bardzo jak umysł. W towarzystwie Suki, podążającej za nią jak szary cień, poszła do sypialni, gdzie w szafie pachnącej starym drewnem, kulkami na mole i przeszłością trzymała nieużywane od dawna ubrania. Wisiał tam, zapakowany szczelnie

w foliowy worek niczym zwłoki w telewizyjnym filmie detektywistycznym. Agnieszka wyjęła go i spróbowała włożyć, pudroworóżowy zakieciak jednak za nic nie chciał się dopiąć. Cóż, przybrała ostatnio na wadze, choć obrosła nie tłuszczem, lecz raczej mięśniami wyrobionymi podczas pracy w ogrodzie. Możliwe zresztą, że było to coś innego – ciężar smutku i samotności, który pęczniał w niej, aż ciało stawało się twarde i nieprzystępne, pełne zgrubień i niespodziewanych uskoków, niczym ciało wymodelowanej w glinie prehistorycznej bogini.

A przecież dawniej lubiła to swoje ciche życie na uboczu, tylko z psami, i była jeśli nie szczęśliwa, to przynajmniej zadowolona. Kiedy to się skończyło? Pół roku temu? Rok? Gdy coś złego zaczęło się dziać z jej pamięcią? Potrząsnęła głową. Czasem tamten długi spokojny czas wydawał się ledwo snem dziecka, otulonego ciepłą kołderką i nieświadomego czających się pod łóżkiem potworów.

Ostatecznie zdecydowała się na luźny sweter z zielonej włóczki, odrobinę zbyt ciepły jak na końcówkę lata, i dżinsową spódnicę. Umyła włosy, wysuszyła je i obcięła paznokcie u nóg. Suka obserwowała te wszystkie zabiegi z wyraźną aprobatą.

— Już niedługo będziesz jadła coś lepszego niż to suche świństwo — Agnieszka poklepała ją po gruzłowatym łbie. Potem wypuściła psy na dwór, żeby się wysikały i pobiegały po mokrej od deszczu trawie. Suka jak zwykle wróciła pierwsza, strząsając z futra resztki wilgoci. Młodsze psy, oba samce, goniły się pomiędzy krzewami niedawno zasadzonych forsycji. Nie dbały o to, co dostaną na kolację, byleby ktoś napełnił miskę. Były szczęśliwe tym prostym, bezmyślnym szczęściem, jakie cechuje tylko młode stworzenia i niektórych upośledzonych ludzi.

Suka leżała u stóp Agnieszki, patrząc czujnie na dokazujące dzieci, chmury burzowe wędrowały dalej na zachód, trawa parowała w słońcu.

— Już niedługo — powtórzyła Agnieszka, przysiadając na najwyższym schodku. Suka zastrzygła uszami. Była inteligentniejsza od swoich synów, może dlatego że starsza. A może z powodu płci. Agnieszka zawsze wierzyła, że istoty żeńskiego rodzaju mają w sobie pewną mądrość, biorącą się z ciemnych miejsc, w które mężczyźni nigdy nie zagląдают.

— Takie jak ona nie rezygnują — dodała w ramach wyjaśnienia, mając na myśli żółtowłosą dziennikarkę. Bo nie wątpiła, że przyjezdna jest właśnie dziennikarką. Komu innemu chciałoby się fatygować tutaj aż z Warszawy?

Ziajane psy wróciły, Agnieszka powoli zaczynała się robić głodna. Gdy od strony centrum wsi dał się słyszeć warkot silnika, gwizdnęła na Sukę i weszła do domu. Nie chciała, by obca kobieta zastała ją czekającą na schodach.

Po trzecim dzwonku uchyliła wreszcie drzwi.

— Słucham — rzuciła w przestrzeń, biodrem przyciskając do ściany Mniejszego, który rwał do przodu. Na udach czuła uderzenia ogonów Większego i Suki.

Stojąca w progu dziewczyna, o dziwo, była już sucha – widać miała gdzieś niedaleko zarezerwowany pokój i zdążyła się przebrać. Tylko wilgotne, nieco przyklepnięte włosy świadczyły o tym, że niedawno złapała ją burza.

— Pani Grabowska, prawda? — Ton ni to pytający, ni twierdzący. — Wiem, że to pani. Czy mogłybyśmy porozmawiać? Nazywam się Kaja Sabat. Jestem z Warszawy.

Agnieszka odsunęła się i otworzyła szerzej drzwi. Dziewczyna cofnęła się pod naporem psiego entuzjazmu, zaraz jednak zrobiła krok naprzód, czym zaskarbiła sobie odrobinę niechętnego uznania gospodyni. Agnieszka poprowadziła ją nie do kuchni, gdzie przyjmowała nie-licznych miejscowych gości, tylko do biblioteki. Widok nieco zakurzonych, ale wciąż imponujących rzędów robił wrażenie. Ci, którzy tu wchodzili, niemal zawsze zaczynali od zdania „Ile tu książek!”. Potem pytali, czy Agnieszka wszystkie przeczytała.

Kaja o nietypowym nazwisku nie powiedziała nic, po prostu usiadła przy drewnianym stole. Drugi punkt dla niej.

— Jak się nazywają? — zapytała, głaszcząc kręcące się wokół niej psy.

— Suka, Większy i Mniejszy.

Po raz pierwszy przez twarz żółtowłosej dziennikarki przemknął cień zdziwienia.

— Dlaczego tak?

— A dlaczego nie? — Agnieszka długo szukała odpowiedniego imienia dla Suki, ale żadnego nie znalazła. Suka zawsze była po prostu Suką. A Mniejszy i Większy, choć teraz wyglądali niemal identycznie, po urodzeniu wyraźnie różnili się wielkością. Był jeszcze trzeci szczeniak, Najmniejszy, który nie przeżył pierwszej nocy. Agnieszka pochowała go w ogrodzie pod jabłónką tamtego jesienno-go dnia, gdy z drzew opadły już ostatnie, poczerńiałe i skurczone, liście, a nad ogrodem unosiły się wstążki połyskującej srebrem lepkiej mgły. Pamiętała miękkość wilgotnej po deszczu ziemi, gdy wbijała łopatę, a potem ciężar leżącego na jej dłoni maleńkiego, idealnie ukształtowanego ciała z czterema szarymi łapkami, ogonkiem nie większym niż mały palec i przylegającymi do czaszki uszkami wielkości paznokcia. I wreszcie swoje

zdziwienie, jakim cudem śmierć może tak szybko zabrać coś tak doskonałego. To wspomnienie, w przeciwieństwie do wielu innych, wciąż było wyraźne w jej umyśle, jak wytrawione kwasem.

Wyrwana z zamyślenia, spostrzegła, że Kaja patrzy na nią wyczekująco, i po raz pierwszy od wielu lat poczuła, że powinna powiedzieć coś więcej.

— Słowa niosą ze sobą odpowiedzialność — oznajmiła więc. — Nazywanie to poważna sprawa.

Kaja skinęła głową, zupełnie jakby zrozumiała, choć samej Agnieszce jej wypowiedź wydawała się mocno niewystarczająca.

Dziennikarka przeniosła wzrok na półki z mnóstwem słów zamkniętych w grubych starych książkach, których ceny liczyły się jeszcze w setkach i tysiącach złotych.

— Wiem, że pani studiowała, ale nie pozwolono pani zostać na uczelni.

Dano mi do zrozumienia, że nie mogę zostać, pomyślała Agnieszka. Dziekan wydziału filologicznego nie zniżyłby się do czegoś tak prostackiego jak zakazywanie komukolwiek czegokolwiek. Wróciło wspomnienie gabinetu pachnącego kawą zaparzoną w szklance otulonej srebrnym koszyczkiem i cichy, niemal ciepły głos. *Niech pani będzie rozsądna, pani Agnieszko, przecież zdaje pani sobie sprawę, że pani do nas nie pasuje.*

Też skinęła głową, zupełnie jak lustrzane odbicie siedzącej przed nią kobiety. Kaja przypominała jej kogoś, choć Agnieszka nie potrafiłaby powiedzieć kogo. Może gdy człowiek żyje wystarczająco długo, wszystkie twarze zaczynają się wydawać do siebie podobne. A jednak mogłaby założyć się o niewielką sumę, że widziała już kiedyś ten kwadratowy podbródek, długi, kluskowaty nos i oczy z leniwie opadającymi powiekami. Kaja nie

była piękna, ale zachowywała się ze swobodą pięknych kobiet i przez to rzeczywiście stawała się piękna, jakby siłą woli udało jej się pokonać ograniczenia ciała. Agnieszka, która w młodości przywykła uważać samą siebie za całkiem ładną i zgrabną (oczywiście nie przez cały czas, to nigdy nie jest cały czas), pomyślała, że dawno temu chciałaby mieć choć połowę pewności siebie tej dziewczyny. Może wtedy jej życie potoczyłoby się inaczej. A może nie.

Kaja milczała i w tej ciszy wydawała się jakaś dziwna, obca, odmienna od dziennikarek, które bywały u Agnieszki wcześniej. Tamte przypominały kolorowe ptaki, ładne urodą z telewizora, szczebioczące. Przychodziły w imieniu czasopism takich jak „Fakt”, „Wróżka” albo „Detektyw”, prawiły Agnieszce zupełnie niezасłużone komplementy, zachwycały się biblioteczką, a potem, już po zadaniu wszystkich pytań i skrupulatnym nagraniu odpowiedzi, robiły jej zdjęcie na tle opasyłych tomów. Zdjęcie, na którym wyglądała szacownie i poważnie, jak ktoś ze świata uniwersytetu, a nie „Wróżki”, „Faktu” czy „Detektywa”, jakby tamta rozmowa nad kawą w szklance otulonej srebrnym koszyczkiem nigdy się nie odbyła. Potem znikaly, pozostawiając po sobie zapach drogich kosmetyków i leżącą na stole umowę.

Myśl o dziennikarkach uświadomiła Agnieszce, że Kaja nie wymieniła żadnego z popularnych szmatławców. Powiedziała tylko „jestem z Warszawy”, jakby to wszystko wyjaśniało. Z kolei myśl o umowie podsunęła jej pewien pomysł.

— Jeśli chce pani ze mną rozmawiać, musi pani zapłacić — oznajmiła, przerywając w końcu niezręczną ciszę. — Umowa na wywiad to jedno, ale wcześniej potrzebuję zaliczki. W gotówce.

— Ile? — Kaja nawet nie mrugnęła.

Agnieszka zastanowiła się. Nie chciała wyjść na chciwą, pragnęła tylko sprawić wrażenie kobiety, która się ceni.

— Czterysta złotych.

Żółtowośosa dziennikarka sięgnęła po portfel i wyjęła z niego cztery nowe, sztywne jeszcze setki, wyglądające jakby zostały wypłacone z bankomatu nie dalej niż dwie, może trzy godziny wcześniej. Zupełnie jakby Kaja Sabat przewidziała tę prośbę i zawnoczuła się w gotówkę. Agnieszka poczuła się nieswojo. Pieniądże miały sprawić, że zaznaczywszy swoją pozycję, poczuje się lepiej, tymczasem poczuła się gorzej, wytrącona z równowagi we własnym domu. Banknoty wyraźnie odcinające się od brązowej i czarnej starości drewnianego stołu patrzyły na nią oskarżycielsko. Agnieszka pragnęła, żeby tamta je sobie zabrała, włożyła z powrotem do portfela, skąd przed chwilą się wynurzyły.

— Chce pani usłyszeć moją historię? — Uczepiła się ostatniego skrawka stałego ładu. W końcu one wszystkie przychodziły po to samo, prawda? — O tym, co zdarzyło się w kamieniołomie czterdzieści lat temu. O mnie, Andrzeju, Jance i... — Imię znów uciekło jej z pamięci, ale wiedziała, że prędzej czy później je odnajdzie.

Kaja spoglądała wzrokiem, w którym Agnieszka rozpoznała ciekawość i jeszcze coś, co nappełniło ją trwogą: litość. Starzejące się kobiety muszą być na nią przygotowane i Agnieszka w pewnym sensie rzeczywiście była. Wiedziała, że za tydzień, miesiąc czy rok sprzedawczyni w sklepie (te miłe, które zawsze znalazły chwilę, żeby z nią pogawędzić) obdarzą ją takim spojrzeniem, gdy przy kasie zapomni właściwego słowa, a młodzi ludzie zaczną ustępować jej miejsca w autobusie.

Ale nie w jej własnym domu, nie wtedy, gdy pozując na tle biblioteczki, ma opowiedzieć swoją historię.

— Tak naprawdę — głos Kai był niemal ciepły, niemal przyjazny, zupełnie jak głos dziekana z tamtego dnia — chciałabym wiedzieć, dlaczego pani kłamała.

Strzelin, rok 1985

Stała przy oknie, patrząc, jak czerwcowy zmierzch otula kikut wieży ratuszowej, zaciera jej kontury i osadza się gęstniejącym mrokiem w zakamarkach strzelińskiego rynku. Cienie wydłużały się, w miarę jak niebo gasło, powietrze nabierało ostrości, podobnie jak śmiechy ludzi rozmawiających pod blokiem, teraz wyraźniejsze, jakby wykrojone nożem z coraz chłodniejszego wieczoru. Zaczynała się najkrótsza noc w roku. Beata wciąż wracała myślami do nagich ciał w trawie i wianków spływających z nurtem rzeki, choć w jej niespełna czterdziestoletnim życiu nigdy nic takiego nie miało miejsca. A Agnieszka jeśli uprawiała gdzieś teraz seks, to raczej na tapczanie w M3, a nie na łonie natury. I co z tego?, pomyślała Beata po raz kolejny. Jest dorosła, nie musi wracać do domu przed dobranocką.

Ale przecież obiecała, prawda? Powiedziała, że przyjdzie, zanim zacznie się film po dzienniku. Wieczorny seans przed telewizorem był ich wspólną tradycją, a Agnieszka zawsze dotrzymywała słowa.

Zapomniała. Dziewiętnastolatkom mnóstwo rzeczy wypada z głowy, kiedy dobrze się bawią.

Co z tego? Obracała te słowa raz po raz na języku, aż zupełnie zatraciły jakikolwiek sens, zlewając się w zbitkę głosek brzmiących jej w głowie jak dudnienie nadciągającego przerażenia: coztegocoztego...

Dawno temu, gdy zdecydowała się zachować dziecko znacznie starszego, żonatego mężczyzny, który wyparł się zarówno jej, jak i ciąży, modliła się, żeby urodzić dziewczynkę. Dziewczynki są spokojniejsze, mówiły koleżanki, łatwiejsze w prowadzeniu, zobaczysz, chłopaki potrafią nieźle dać w kość. Sama mam dwójkę, więc wiem. Teraz coraz częściej przyłapywała się na myślach, że wołałaby być matką nastolatka, choćby i trudnego, który wracałby do domu pijany, ze śladami po bójce przyprowadzony przez milicjantów. A nie nastoletniej dziewczyny, bo nastoletnim dziewczynom w takie właśnie ciepłe letnie wieczory przydarzają się złe rzeczy. Przygryzła wargę, wciąż wpatrzona w okno, za którym światło zapalonych przed chwilą latarni wyławiało z półmroku sylwetki przechodniów. Żadna z postaci przecinających rynek nie była jej córką. Beata poznałaby ją nawet w całkowitej ciemności. Agnieszka, wysoka i szczupła, jakby składała się z samych rąk, nóg i spiczastych łokci. Agnieszka, której zdarzało się przewrócić na prostej drodze, a na wuefie nigdy nie potrafiła przerzucić piłki nad siatką. Rozsiane po mieszkaniu kubki z niedopitą herbatą, dziury w rajstopach i siniaki na przedramionach. Jej koleżanki płynęły z wdziękiem przez życie, ona parła naprzód, objając się o wszystkie kanty. Zawsze, od maleńkości różniła się od innych dzieci, choć to nigdy nie były duże różnice. Ot, jakiś drobiazg tu i tam, nigdy nic konkretnego, nic, co można by przedstawić psychologowi albo i współczu-

jącej koleżance (nie żeby Beata miała jakieś koleżanki, współczujące czy nie). Czasem się zastanawiała, czy nie przesadza, czy nie jest przewrażliwiona, jak bywają czasem samotne matki. Bo przecież Agnieszka dobrze sobie radziła, miała przyjaciół, i nie dalej jak miesiąc temu zdała maturę na samych czwórkach i piątkach. A jednak...

Zawsze pozostawało to paskudne, osadzające się nieprzyjemnym ciężarem w żołądku „jednak”. Ta obawa, że ktoś zobaczy w Agnieszce to, co dostrzegala jej matka. Jej inność i słabość, tajemnice i kłamstwa. Zobaczy, a potem ją skrzywdzi.

Agnieszka dziś przy śniadaniu, grzebiąca widelcem w stygnącej jajecznicy.

— Wychodzę wieczorem, dobrze, mam? Wrócę przed ósmą.

— Z kim wychodzisz?

— Z koleżankami.

— Dokąd?

— Tak tylko, pokręcić się po mieście.

Beata skinęła głową, choć miała ochotę wrzasnąć: gdzie i z kim, nazwiska! Niedawno ze zdumieniem i jednocześnie pewną dozą rozbawienia odkryła, że każda matka nastoletniego dziecka ma w sobie coś z oficera NKWD.

A jednak zmilczała i odezwała się, dopiero gdy córka dopiła herbatę i zamierzała już wstać od stołu.

— Masz chłopaka?

Chciała zapytać inaczej, bardziej łagodnie i podstępnie, ale słowa wymknęły jej się z ust i leżały teraz pomiędzy nimi, ciężkie jak kamienie.

Agnieszka odwróciła wzrok. Jej twarz, pokryta delikatnymi piegami, była miękka i po dziecięcemu otwarta, a Beata nagle z jakiegoś powodu przypomniała sobie

dzień, kiedy jej córka po raz pierwszy skłamała. Miała wtedy pięć lat, zdecydowanie późno jak na pierwszą w życiu nieuczciwość, ale Beata i tak czuła się niesamowicie dumna. Od tamtego czasu dziewczyna nauczyła się kłamać znacznie lepiej.

— No, w zasadzie, tak jakby.

— I ten chłopak idzie z wami?

Agnieszka wzruszyła ramionami, a Beata przestała wypytywać. Teraz, niemal czternaście godzin później, obracała w ustach odpowiedź córki, próbując wyssać z niej jakąkolwiek treść. „Tak jakby”. Dwa kanciaste, źle układające się na języku słowa o smaku wysuszonej trawy, które mogły znaczyć wszystko i nic.

Podskoczyła, gdy za jej plecami rozległ się dźwięk dzwonka. Agnieszka, pomyślała w nagłym gwałtownym przypiływie nadziei, który trwał nie dłużej niż uderzenie serca. Córka miała klucze.

Podeszła do drzwi, wstrzymując oddech. Gotowa na to, co mogła usłyszeć. A przynajmniej wierząc, że jest gotowa.

Na progu stała sąsiadka. Matka Andrzeja z równoległej klasy w liceum, które niedawno skończyła Agnieszka.

— Twoja córka wróciła? — zapytała nerwowo. — Bo mój syn nie. Poleźli gdzieś, jak Boga kocham, i pewnie się upili. Trzeba ich szukać.

— Nie ma jeszcze nawet dziesiątej — zaprotestowała Beata. Nikt, kto nie znałby jej dobrze – a jedyną taką osobą była Agnieszka – nie zgadłby, że jeszcze przed chwilą sama niemal odchodziła od zmysłów. Teraz wydawała się opanowana, z lekką tylko nutą niepokoju. Pani Bryłka, która miała czwórkę dzieci i męża pracującego w wodociągach, mogła sobie pozwolić na bycie histeryczną kwoką. Beata nie. Na samotne, niezamężne matki

zawsze patrzy się podejrzliwie, dlatego od dziewiętnastu lat starała się nie wychylać. Nie być ani zbyt opiekuńcza, ani zbyt obojętna. Rozmawiać miło z innymi mamami, ale się nie spoufalać. Pilnować, by jej córka chodziła w czystych ubraniach, wystarczająco modnych, by nie śmiały się z niej dzieci w szkole, a jednocześnie na tyle zwyczajnych, by nie kłuły w oczy sąsiadów. Dbać o kawałek ogródka na działce, codziennie o siódmej dwadzieścia siedem wychodzić do pracy. Być porządną kobietą, tak jakby te dwa słowa miały zmyć piętno jej grzechu.

Teraz z ulgą pozwoliła sąsiadce przejąć kontrolę nad sytuacją. Protestowała niezbyt energicznie, gdy kobieta zaprowadziła ją do swojego mieszkania piętro wyżej, posadziła w fotelu i poczęstowała herbatą, tak mocną, że z wyglądu przypominała kawę. Potem już tylko nasłuchiwała głosu dobiegającego z drugiego pokoju. *Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale Andrzej nie wrócił jeszcze do domu. Tak, obiecał przyjść na kolację... Martwię się. Nie wie pan, gdzie on może być? Może zapyta pan syna? Staszek też gdzieś wyszedł? Może są razem, jak pan myśli?*

Beata upiła łyk herbaty. Gorący płyn smakował, jakby od tygodnia moczo w nim stary brudny rzemień, a gdzieś w tle była jeszcze inna nuta, ciężka i ziemista. Cmentarna, to właśnie słowo przyszło jej do głowy, choć wcale go nie zapraszała. Postawiła szklankę na stoliku, a potem podniosła ją i przesunęła. Na lakierowanym drewnie blatu zostało idealnie okrągłe kółko. Beata próbowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek była wcześniej w tym pokoju pełnym ciężkich, staroświeckich mebli, jeśli nie przedwojennych, to przynajmniej skutecznie przedwojenne udających. Chyba tak, parę lat temu, w związku z jakąś szkolną wycieczką. Wtedy też dostała